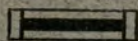


Z KSIĘGOZBIORU
D^{ca} WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

B. JANUSZ.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Przemysłu i nieco o muzeach lokalnych.



LWOW 25/26 X. 1913.
GŁÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI AKADEMICKIEJ,
„DRUKARNIA POLSKA”, CHORAŻCZYŻNA L. 31.

Z KSIĘGOZBIORU
D^{ca} WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

<http://rcin.org.pl>

14593

Z KSIĘGOZBIORU
Dra WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

B. JANUSZ.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Przemyślu
i nieco o muzeach lokalnych.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Przemyślu i nieco o muzeach lokalnych.

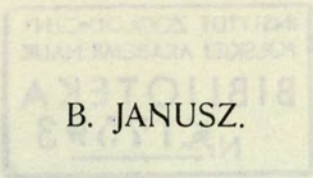
Przemysko

LWOW 2536 X. 1813.

GŁÓWNY DRUK W KSIĘGARNI AKADEMICKIEJ,
Drukarnia Polska, Czarnałczyzna L. 31.

DR WAGŁAW RÓŻKOWSKI
Z KSIĘGOWNI
TOWARZYSTWA

Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie i jego ośrodek badawczy



B. JANUSZ.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Przemysłu i nieco o muzeach lokalnych.

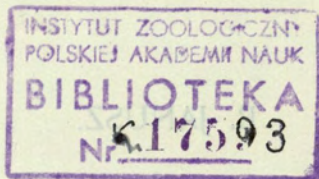


LWÓW 25/26 X. 1913.

GŁÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI AKADEMICKIEJ,
„DRUKARNIA POLSKA“, CHORAŹCZYŻNA L. 31.

Dr. WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO
ZAKŁAD HISTORII

(2605)



Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Przemysku
i nieco o muzeach lokalnych

Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN

K.17593



1000000003500

LWÓW 22 XI 1918
GŁÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI AKADEMICKIEJ
DRUKARNIA POLSKA, CHORAŚCZYNA 1. 31.

Świadkami jesteśmy w czasach ostatnich bardzo sympatycznego objawu budzenia się do życia nowego, lepszego, i tych środowisk, które dotychczas tak bierne, głuche były i nieczułe na wszystko, co nie wchodziło w zakres drobnych ich i małych interesów i interesików czysto osobistych. Narzekania na bierność i apatię prowincji dla wznioślejszych celów nauki i kultury ustają powoli, bo prowincja ta istotnie poczyną ożywiać się, biorąc przykład dobry z wzorów tak licznych i coraz liczniejszych w kulturalnej działalności naszych miast stołecznych. Coraz częściej też słyszymy, iż tu otworzono gdzieś bibliotekę publiczną, tam zajęto się zbiorami naukowymi, ówdzie znów zakrzątnięto się koło stworzenia nowego ogniska poważnej pracy naukowej i oświatowej. Pod wpływem najrozmaitszych czynników powstawać zaczęły w kraju instytucje, których znaczenia ogromnego w przyszłości, może i nie przeczuwamy nawet w chwili obecnej. Dlatego też z prawdziwym i niekłamanym zadowoleniem, a częstokroć wprost nawet z radością, witają koła interesowane wiadomości tego rodzaju, widząc w nich zadatek lepszej przyszłości, spodziewając się po nich uzupełnienia tych braków ogromnych, które u nas jak zmora dławią każdą akcję poważną, zakreśloną na nieco większe rozmiary. Kto tylko nieco oddawał się u nas pracy naukowej, ten wie najlepiej, ile przeszkód ma się zawsze do przezwyciężenia, ile trudności do pokonania, kiedy tylko zawadzić

trzeba o rzeczy, o tematy i kwestje, wchodzące poza granice dróg utartych, poza biblioteki, archiwa i zbiory naukowe miast stołecznych. Nie przeżywają się też dotychczas nawoływania przedstawicieli najrozmaitszych dyscyplin naukowych do działalności pomocnej, pod adresem wszystkich tych, których los rzucił w zapadłe i mało znane zakątki kraju — zachęca się ich do owocnej pracy na niwie wiedzy ojczyściej, wskazując drogi, jakimi kroczyć mają, o ile tylko chcą jakie żywią ku temu. Najwięcej nadziei zapowiadało zawsze nauczycielstwo i duchowieństwo prowincjonalne i do nich też zwracano się z każdym apelem. Pamiętamy jeszcze owe formularze i kwestionariusze w najrozmaitszych kwestiach naukowych, rozsyłane setkami do inteligencji prowincjonalnej, ale też i pamiętamy, jak nikłe dawały one wyniki. Za mało zrozumienia dla rzeczy podobnych znajdowaliśmy u tych, którzy — jak sądziliśmy — najprędzej jeszcze mogliby przyjść nam z pomocą. I dziwić się nie można temu.

Najgorliwszymi krzewicielami idei wprzęgnięcia prowincji do pracy naukowej i wogóle kulturalnej byli uczeni nasi z owych dobrych, dawnych czasów, kiedy to na miano uczonego nie zasługiwało się byle przyczynkiem lub monografią pretensjonalną, lecz istotnie cennymi dziełami fundamentalnymi, z którymi teraz tak rzadko tylko spotykać się można w naszej produkcji naukowej. Działalność całej plejady uczonych dzisiejszych streszcza się w dorzucaniu samych przyczynków do przyczynków, w publikowaniu „poprawnem“ dzieł dawnych, w drobieniu szczegółów i szczegółików. Stan taki wytłumaczyć można poniekąd owem tak charakterystycznym dla ducha czasu przemierzaniem krytycznym wszelkich wartości dawnych, celem wzniesienia gmachu nowego, któryby oprzeć się miał skutecznie choćby i najsilniejszym atakom czasów i ludzi. Nie o to nam jednak chodzi! Zaznaczyć chcielibyśmy tylko, że tendencja podobna powołała do życia to, czego prawie

naprózno domagali się dawni współpracownicy na niwie naukowej — spowodowała zajęcie się sprawami poważnymi i kół, trzymających się od nich zdaleka. Czasy nasze są właśnie początkiem owego okresu nowego w życiu umysłowym społeczeństwa całego. Z nastania jego wnosić można, iż grunt podeń przygotowany już został przez poprzedników, których staraniom zawdzięczamy zatem pomyślny zwrot ku lepszemu. Za pomyślny zwrot bowiem uważać należy pierwsze kroki, stawiane na drodze ogólnego zainteresowania ku sprawom wiedzy i kultury narodowej. Za taki też uważa je każdy, komu tylko na sercu spoczęła lepsza przyszłość narodu, kto tylko w tem widzi przedewszystkiem zapowiedź dalszego rozwoju jego.

I nic inego nie powodowało nami, kiedy postanowiliśmy z szerszemi kołami podzielić się miłą wiadomością, iż nie jedno, nie dwa miasteczka prowincjonalne zgłosiły swe przystąpienie do ogólnonarodowego rydwanu nauki, stwarzając u siebie sympatyczne muzea, względnie zbiory krajoznawcze. W przeglądzie, poświęconym „Muzeom lokalnym w Galicji“, drukowanym w warszawskim tygodniku krajoznawczym „Ziemia“ (1912, Nr. 4—6), zwróciliśmy uwagę na istniejące podówczas zbiory w pięciu miastach naszych, a mianowicie w Tarnowie, Przemyślu, Tarnopolu, Kołomyi i Nowym Sączu. Z najwidoczniejszym zadowoleniem zaznaczyliśmy fakt ten, rokując z tego powodu jak najlepsze horoskopy tak dla instytucji samych, jak i dla dobra nauki naszej. W dowód zrozumienia warunków, wśród jakich powstawać mogą u nas tego rodzaju dzieła, zdane całkowicie inicjatywie osób prywatnych, nie zapomnieliśmy nadmienić, iż istotnie zrealizowanie swe zawdzięczają one bez wyjątku staraniom jednostek. „Okoliczności tej nie zmienia zupełnie fakt, iż trzy z galicyjskich zbiorów prowincjonalnych założone są i istnieją przy Tow. Szkoły ludowej, ponieważ i w tym wypadku projekt zorganizowania ochrony pamiątek przez gromadze-

nie ich w muzeum zrealizowany został jedynie dzięki zabiegom i staraniom poszczególnych osób, miłujących przeszłość kraju i wszystko, co z nią związane jest od długiego szeregu wieków. Na ich też barkach spoczywa cała praca koło utrzymania i rozwoju założonych zbiorów, nie popieranych jeszcze przez społeczeństwo jakby na to zasługiwały“.

Wyrażając się podobnie, miałem oczywiście na myśli i Muzeum w Przemyślu, zaznaczając najwyraźniej, iż i tam „podobnie urzeczywistniony został projekt podniesiony przez kilka osób prywatnych“. Uwagę tę podkreśliłem umyślnie, ponieważ usprawiedliwić ona miała dalsze moje stanowisko wobec działalności (nie tylko w Przemyślu) osób tych, więcej zapobiegliwych, gotowych i chętnych do pracy, niż fachowo do tego przygotowanych. Dalekim był od nauczania „ex cathedra“, chociaż niemniej poczyniłem kilka uwag pod adresem zarządów wszystkich instytucji podobnych u nas, wiedząc doskonale, jak wielką wskazują one zawsze inklinację ku najrozmaitszym zwyrodnieniom zbierackim. Spostrzeżenie to nie jest zresztą tylko moje i nie tylko znaczenie ma odnośnie do naszych stosunków; zauważono to zarówno w Czechach, jak i w Niemczech i Francji i nie dziw, że zwrócono uwagę na zapobieżenie temu*). Wytlumaczyć można objaw podobny specjalnymi warunkami, wśród jakich rozwijać się przychodzi muzeom lokalnym, za marnie finansowanym, by mogły myśleć o zakupywaniu okazów cenniejszych. Do warunków takich nagiąć się trzeba koniecznie, a sztuka zachowania równowagi w tym względzie jest właśnie owym „fachowem“ wykształceniem, czy kierownictwem, jakiego wymaga się od ludzi, podejmujących się kompletowania i gromadzenia zbiorów.

Zrozumiałe jest, iż w naszych stosunkach, gdzie

*) Charakterystyczny głos w tej sprawie zabrał A. Dv o-
ř a k: Lokalmüssen Mittel. d. Z. — Kommission. Wien 1911.
11r. 7.

instytucje podobne ledwie od lat kilku istnieją, trudno wymagać „fachowego“ wyszkolenia podobnego i z konieczności zdobywane być musi ono na początek samotnictwem i wogóle pracą osobistą. Obowiązkiem też jest każdego, kto tylko w jakiś sposób zdobył sobie pewną, choćby drobną w tym kierunku znajomość rzeczy (praktycznie lub teoretycznie), iżby doświadczeniem swoim służył zawsze, gdzie tego zajść tylko może potrzeba. Miarą zaś wartości doświadczenia takiego będzie oczywiście zawsze wynik praktycznego wykorzystania jego, a nie okoliczność, kto, gdzie i kiedy niem służył. Obojętne być musi, kto daje rady, jeśli rada ta słuszną okazuje się w istocie. I tem też powodowałem się, zwracając początkującym instytucjom krajoznawczym uwagę na niektóre, zasadnicze zresztą szczegóły, mające stanowić o ich rozwoju pomyślnym i o wartości dla celów naukowych, o które im przecież najbardziej chodzi. O szczerości zaś tych intencji — o ile już trzeba zapewnień co do nich — świadczyć może najlepiej, iż tam, gdzie uwagi były zbyt liczne, nie wahaliśmy się podnieść zasługi i z uznaniem całem wyrazić się o pracy osób poszczególnych, chociaż nie zawsze spotkały się one i u innych z uznaniem winnem (n. p. ks. dr. Józef Bąba, założyciel znanego Muzeum djecezjalnego w Tarnowie). Specjalnie też na wzór niejako postawiłem założyciela Muzeum tarnowskiego, który „uważał za swój pierwszy obowiązek zaznajomić się doskonale z teorią naukowego zbierania, opartego na prawdziwej wiedzy i znajomości rzeczy. Pod tym względem dał więc, rzadki jeszcze i teraz u nas przykład, jak należy się brać do podobnego przedsięwzięcia, aby mózdz odpowiedzieć przyjętem na się zobowiązaniom. Nie dziw też, że Muzeum tarnowskie cieszy się dzisiaj między ludźmi fachowymi i znawcami jak najlepszą sławą, na którą całkowicie zasłużyło dzięki niezmordowanej pracy pierwszorzędnego znawcy, jakim jest dr. J. Bąba. Jak dotychczas, o żadnem innem muzeum prowincjonalnem u nas nie można tego powie-

dzieć, ponieważ mimo dość licznych nieraz okazów, zbyt prymitywnie kierowane są przez ludzi, nie rozumiejących się jeszcze odpowiednio na wcale niełatwej, a owszem bardzo wielkiej wiedzy wymagającej, sztuce kolekcjonowania naukowego. Celem stworzenia jakiegoś zbioru nie dość jest powodować się jedynie manią zbieracką, o ile oczywiście pragniemy dojść do pokażniejszych jakichś rezultatów — lecz baczyć przede wszystkim należy, by każdemu wysiłkowi naszemu przyświecała zawsze prawdziwa wiedza i znajomość rzeczy. Bez tego budowa cała na kruchych opierać się będzie podstawach“. (Muzea lokalne w Galicji, „Ziemia“, 1912, Nr. 4).

Celem jaśniejszego wytknięcia drogi, po której kroczyć powinny muzea lokalne, zaznaczyliśmy w ciągu dalszym (Nr. 5. „Ziemi“ za 1912), iż „muzeum tarnowskie przedstawia obecnie już pewną zamkniętą w sobie całość, której zaletą obok zachowania zabytków jest także pierwszorzędna wartość pedagogiczna: w wspomniały sposób połączono tu *utile cum dulci*. Zbiór ten nie jest składem różnaitości, lecz doborem celowo i umiejętnie, a nawet bardzo umiejętnie, nagromadzonych cennych zabytków okręgu tarnowskiego — szczegóół, który jeszcze bardziej podnosi jego wartość. Nie rywalizując z wielkimi zbiorami w stolicach, zwrócono uwagę na rzeczy, które, choćby niekoniecznie cenne na pieniądź, wartość posiadały dla dziejów przedewszystkiem ziemi tarnowskiej. W muzeum tem nie widzimy też niepotrzebnych „okazałości i unikatów“, które nie mają nic wspólnego z celem i zadaniem zbioru; zajęcie się nimi pozostawiono bardziej kompetentnym muzeum stolicy“.

I nie wystarczyło nam postawienie w słowach powyższych za przykład muzeum tarnowskiego innym muzeom lokalnym, albowiem wprost potem nadmieniamy: „Umyślnie rozpisałem się nieco obszerniej o wspaniałem muzeum tarnowskiem, pragnąc wskazać je

jako wzór, który naśladować powinni wszyscy, zajmujący się organizowaniem zbiorów prowincjonalnych. Zwłaszcza krzątający się w przemyskim Tow. Przyjaciół nauk powinni bliżej zaznajomić się z dziejami i powstaniem zbiorów w Tarnowie, jeśli tylko pragną, by praca ich przyniosła jakieś poważne plony. Jak dotychczas bowiem zbiory te w Przemyśle nie mają odpowiednio wykształconych i fachowych kierowników, co oczywiście przyczyniać się musi do tracenia czasu na rzeczy bezużyteczne, nie przysparzając natomiast żadnych pomyślnych wyników. W takim też stanie rzeczy, zbiory przedstawiać muszą rzeczywiście „lamus mniej lub więcej ciekawych przedmiotów“*), a nie dobór umiejętności i odpowiednio gromadzonych przedmiotów wartościowych. Póki więc jeszcze czas na to, należałoby zwrócić uwagę na wszystkie błędy i niedomagania, a przede wszystkim zaznajomić się dokładnie z teorią kolekcjonowania, albowiem same dobre chęci oraz dorywcze zbieranie bez planu i wytkniętego celu z pewnością nie zostaną uwieńczone skutkiem pożądanym“.

Po uwagach powyższych przychodzę do sprawozdania z działalności Tow. przemyskiego, powiadając: „Niedawno założone Tow. Przyj. nauk w Przemyśle zajęło się gorąco urządzeniem muzeum, które obecnie zajmuje całe trzy ubikacje. Najpoważniejszą częścią jego są wykopaliska przedhistoryczne, ofiarowane przez p. Dworskiego; z powodu jednak, że ofiarodawca sam wykopywał je zupełnie nieumiejętnie i bez zachowania nauką przepisanych metod i sposobów, zostały one znacznie zdeprecjonowane, tracąc na wartości materiału naukowego. Wskazaniem byłoby więc, ażeby ktoś z fachowych archeologów zechciał zająć się tymi okazami, ustalając ich proveniencję, tudzież okoliczności,

*) O zbiorach tych wyraził się podobnie, po ich oglądnięciu, red. Fr. Jaworski — Archiwum i muzeum w Przemyśle. Na ziemi naszej. Lwów 1911. Nr. 17.

towarzyszące wydobyciu ich z ziemi, opierając się w tem oczywiście na krytycznie rozpatrzonych wspomnieniach p. Dworskiego. W ten sposób możnaby uratować dla nauki ciekawe i cenne zresztą zabytki ceramiki przedhistorycznej powiatu łańcuckiego i przeworskiego“.

Słowa powyższe pisaliśmy z końcem roku 1911, w druku zaś okazały się z początkiem 1912, a zatem w czasie, kiedy projektowany katalog znajdował się jeszcze w dziedzinie zamiarów. Stosownie też do tego pozwoliliśmy sobie zwrócić uwagę „oby tylko katalog ten odpowiedział swojemu zadaniu, jako materiał naukowy, uprzystępniony liczniejszemu uczonym i w ten sposób naprawił złe wrażenie, jakie wyrobiono sobie o Tow. z powodu głośnej kompromitacji z wykopaliskami przemyskimi“. Końcowy ten dodatek najlepiej wyjaśnia przyczynę obaw, wyrażonych co do ewentualnej wartości projektowanego jeszcze wówczas katalogu, nie mówiąc już o wrażeniu osobistem, odniesionem niejednokrotnie z rozmów, prowadzonych z jednym z głównych kierowników muzeum przemyskiego, tudzież z oceny wartości zbiorów tych przez kilka osób najbardziej do tego w kraju całym powołanych. Względy te kazały obawiać się, czy zamierzony katalog, jak wogóle zresztą cała działalność archeologiczna Tow. przemyskiego, potrafią odpowiedzieć wymogom, słusznie stawianym tego rodzaju pracom i staraniom. I jak się następnie okazało, obawy te nie miały być bezpodstawnymi.

W tem miejscu jednak obszerniej musimy wyjaśnić ową napomknętą kompromitację z wykopaliskami przemyskimi, albowiem od niej to datuje się właściwie zainteresowanie nasze pracami, podejmowanymi w dziedzinie archeologii przez Tow. Przyjaciół nauk w Przemysłu i ona to zwróciła uwagę na niezupełną kompetencję Tow. w sprawach czysto naukowych; oczywiście miałem zawsze na myśli prace tylko archeologiczne i o tych jedynie zawsze mówiłem. I kiedy pozwoliłem

sobie poczynić uwagi pewne pod adresem Tow. w zreferowanym powyżej sprawozdaniu o „Muzeach lokalnych w Galicji“, to wyprzedziło je zajęcie, które jeszcze przed napisaniem tego sprawozdania omówilem wcale dokładnie na innem miejscu*).

Zmuszony ujemnie wyrażać się o czyjejs pracy, którą zawsze cenić potrafię, zwłaszcza gdy płynie z względów najzupełniej czystych, uważałem za obowiązek mój zaznaczyć wówczas, dlaczego takie, a nie inne zajmuję właśnie stanowisko. Zdawałem sobie z tego należycie sprawę, iż kiedy wytyka się coś — dowodami służyć należy, bo o te nie pytają się nigdy, kiedy się chwali. Stąd też tak często spotykać się można z pochwałami właśnie, drukowanemi wprost nałogowo przez pisma nasze i dzienniki, a nie z naganą lub prawdą nagą, która najczęściej nie inaczej przyjęta byłaby jak najcięższa obelga — tak bardzo przyzwyczało się ludzi do zdobywania za byle co laurów, sławy i wieczności! Brak czasu, nie pozwalający wprost na przeczytanie książki, przesłanej do t. zw. recenzji, tendencja nie czynienia nikomu trudności, pobłażliwa obojętność (rozumiała u dziennikarza lub zawodowego literata, przez ręce którego przechodzą wiecznie całe setki książek, książeczek, broszur i broszurek najrozmaitszych), względy osobiste, a wreszcie unikanie przysłowiowego wkładania palców między drzwi, przyczyną są owej zadziwiającej wielkoduszności, która pozwala pismom naszym i dziennikom nie to chwalić, ale wprost wysławiać byle grafomaństwo, byle koncert marny, byle czyjaś ambicję próżną. I kto też bliżej miał sposobność przypatrzeć się tym stosunkom, ten z pewnością nie będzie na tyle naiwny, by za dobrą monetę brał te pochwały zdawkowe, wyrażane niejako z obowiązku urzędowego.

*) B. Janusz. Wykopaliska w Przemyślu. Na ziemi naszej. Lwów 1911. Nr. 18.

I d e m. Badania arch. dokonane 1911 w Galicji wsch. Na ziemi naszej. 1911. Nr. 23.

Pozatem, w czasach ostatnich doszło do tego, iż za sumienną nawet krytykę ujemną, spotkać się można mało nie z rewolwerem, o ile już nie z rękoczynem, jak miejsce to miało dni temu kilka w pewnej kawiarni lwowskiej. „Idealne“ cele, którym służą autorowie i działacze, pozwalają im pnieć się tylko, kiedy ktoś wykaże, iż do złych doszli rezultatów, zamiast zadowolenie swoje okazać, iż w ten sposób reprezentowana przez nich nauka, czy inna sprawa kulturalna, zyskała nową zdobycz — bez namysłu mieszają stanowisko swe jako uczonego i jako człowieka, zapominając, iż celem ich nie było zdobycie rozgłosu i sławy, lecz przede wszystkim ofiarowanie nauce nowych zdobyczy cennych, nowych wyników. I dla czegożby, służąc wiernie nauce, mieli niezyczliwie widzieć, iż praca ich przejrzana sumiennie i krytycznie, poprawiona została przez kogoś innego, kto dowodnie wykazał błędy jej i braki? Przecież tak chyba pojmować mogą rzecz ci wszyscy, którzy naprzód są uczonymi, czy działaczami, a potem dopiero ludźmi. W takich tylko warunkach można mówić o postępie i rozwoju nauki!

Podobnie myślałem i w chwili wytknięcia Tow. przemyskiemu nieudalej jego enuncjacji na temat dokonanego znaleziska. Zaznaczyłem, dlaczego więcej wymaga się od Tow. naukowego, niż od byle człowieka prywatnego. Instytucja, nosząca tak poważną nazwę, jak Towarzystwo Przyjaciół Nauk, posiadająca pozatem naukową Stację archeologiczną i szereg cały komisji najrozmaitszych, powinna ogłędniej występować na zewnątrz, bo reprezentując naukę, nie może już pozwolić sobie na błędzenie, z którym do twarży jest jeszcze byle jakiemu kołu, ale chyba nie towarzystwu naukowemu. A jeśli trudno odpowiedzieć słusznym wymaganiom podobnym, to i poco pretensjonalnie stawać zaraz na koturny, nadymać się i wogóle brać się nie do swoich rzeczy? Darować sobie można prowadzenia „badań“, kiedy się niema danych ku temu, odłożyć na czasy lepsze

wydawante publikacji, kiedy wypełnić ich niema czem, nie ubliży to godności, a owszem pozwoli więcej się skupić, więcej pogłębić i na silniejszej stanąć podstawie. Zbyt jasne to i zrozumiałe, by wiele o tem mówić, ale powiedzieć trzeba ludziom, którzy najwięcej ambicji zaangażowali, poświęcając dla formy i pozorów treść właściwą. I jeśli uradziło się zamianować się Towarzystwem naukowym, jeśli ustanowiło się Stację archeologiczną i t. p. urzędzenia, trzeba w konsekwencji zgodzić się na odpowiednie do tego traktowanie. Wymagania krytyczne, stawiane Tow. Przyj. Nauk z naukową Stacją archeologiczną inaczejby wypaść musiały, gdyby Tow. to było tylko n. p. zwykłym sobie Kołem, jakich kilka już tak owocnie działa w kraju. I chyba nie leżało w intencjach Tow. przemyskiego przyjmować dla się godności i tytuły, a nie być w stanie im podolać? Niech więc i nadal nosi przybrane miano, ale niech też i zechce ponosić konsekwencje tego.

Z końcem 1911 r. nadarzył traf znalezisko przedhistoryczne w Przemyślu, o którym wyżej napomknęliśmy. Przypadkowym odkryciem zajęło się Tow. i jego staraniom zawdzięcza nauka, iż wydobyte z ziemi kości i zabytki nie zginęły bez śladu. I wszystko złożyłoby się jak najlepiej, gdyby nie sfabrykowana na poczekaniu elokubracja na temat pochodzenia tego grobu, zredagowana przez kierownictwo „Stacji archeologicznej“ i rozdana niepotrzebnie do wszystkich pism i dzienników polskich. Gdyby kierownictwo Stacji mniej dbało o rozgłos i ambicję obeszloby się bez wentylowania tej sprawy, a muzeum Tow. i bez tego posiadałoby znalezisko całe. Tymczasem „Stacja“ gorliwie postarała się o możliwie jak najogólniejsze rozpowszechnienie wiadomości o tem, przesyłając do wszystkich pism w kraju odpowiedni komunikat, rojący się od błędów i nieznajomości rzeczy, a dokazujący „niezbicie“, iż w najodleglejszych wiekach przedhistorycznych „osada nad Sanem, w tem samym miejscu, gdzie dzisiaj leży Prze-

myśl, była słowiańsko-lechicka, a zatem polską". „Ściśle naukowe“ te wyjaśnienia powtórzyła prasa niemal cała, przyczyniając się w ten sposób wielkodusznie do spou-laryzowania „ciekawych“ wyników badań Stacji przemyskiej. Inna rzecz, że jak wykazują poważniejsze badania prof. K. Hadaczka we wsi Pauszówce (pow. Czortków), znalezisko przemyskie mogłoby posiadać istotnie wartość pewną dla nauki, ale nie będąc naukowo i dość wiarygodnie zbadane, nie uprawnia do wniosków poważniejszych, nie mówiąc już oczywiście o naiwnej teorii lechickiej kierowników Stacji.

Podobnie sceptycznie wyraził się o odkryciu i prof. Wł. Demetrykiewicz *), który powiada, iż „wiadomości o rzekomem odkryciu podobnych zabytków, alarmujące licznych specjalistów, jak n. p. obecnie w Przemyśle — pochodzą zwykle od miłośników starożytności, którzy na polu archeologii przedhistorycznej są dyletantami i przy swoich poszukiwaniach wykopaliskowych popełniają błędy metodyczne i nader łatwo ulegają złudzeniom“. „Grono miłośników zabytków w Przemyśle położyło niewątpliwie zasługi przy uratowaniu wspomnianych wykopalisk od zagłady, ale wnioski naukowe (zwłaszcza tak daleko idące), byłoby bezpieczniej pozostawić uczonym specjalistom“. Zupełnie podobną ocenę znajdujemy i gdzieindziej jeszcze**), a wogóle w kołach interesowanych dowodzenia „naukowe“ naukowej Stacji przy naukowym Towarzystwie nie spotkały się z uznaniem niczyjem.

W cytowanym przeglądzie archeologicznym za rok 1911. zaznaczam *per longum et latum*, dlaczego uwagę żywszą, poza tem wszystkim, zwróciłem na całe to zajęcie. „Pierwszy archeolog u nas zaczął swą działalność od nawoływania społeczeństwa całego do

*) List nadesłany do redakcji „Zsasu“ w sprawie wykopaliska w Przemyśle. Czas 1911. Nr. 185.

**) Wł. Hrebeniak. Archeoloziczni doślidy nad prastorjeju hałyckoi Ukrainy w 1911 r. Diło 1912. Nr. 4.

rozumnego obchodzenia się z zabytkami, niszczonymi masami całymi od lat szeregu. Miało to miejsce dobrych już lat kilkadziesiąt, ale niestety mimo to i dzisiaj nie lepiej jest pod tym względem, jak tego dowodem bardzo liczne notatki dziennikarskie, uskarżające się stale na wandalizm i ignorancję w sprawach konserwacji zabytków. Po miasteczkach lokalnych zakłada się muzea osobne i Kółka naukowe, których zadaniem jest ratowanie od zagłady licznych u nas jeszcze pamiątek przeszłości, pokazujących się od czasu do czasu na światło dzienne, dzięki szczęśliwemu przypadkowi jakiegoś. Oczywiście trudno przypuścić, by instytucje podobne, już z natury rzeczy zbyt ograniczone w środkach swych i możliwości podejmowania poważniejszych badań naukowych, mogły prowadzić jakieś ważniejsze badania archeologiczne, wymagające długoletnich studjów specjalnych, tudzież wielkiej wiedzy fachowej. Działalność ich ograniczać się powinna, przynajmniej na razie, przede wszystkim na inwentaryzowaniu najrozmaitszych zabytków w okolicy, tudzież na konserwowaniu ich na miejscu lub w zbiorach osobnych; z rozkopów i badań samodzielnych powinny całkowicie zrezygnować, mając na uwadze, iż do pracy podobnej potrzeba koniecznie fachowego wykształcenia, o które przecież nie łatwo u nas, jeśli się zważy, iż w kraju tym ledwie osób kilka poważnie w tym kierunku pracuje. Uważać zatem należy, by zamiast chronić od zniszczenia, samemu nie popełniać barbarzyństwa, ponieważ z zabytkami przedhistorycznymi zupełnie ma się inaczej, jak n. p. z pomnikami piśmiennictwa. Te raz źle wydane, mogą być poraz drugi lepiej opracowane, zabytki zaś przedhistoryczne, raz nieumiejętnie zbadane, bezpowrotnie dla nauki przepadają. A czyjem zadaniem jest przestrzeganie tego, jak nie przede wszystkim naukowych towarzystw prowincjonalnych? Do pracy tej jednak należy się uprzednio przygotować należycie, ażeby mózdz podolać przyjętym obowiązkom“.

I jeden jeszcze szczegół zmusił nas do ostrzejszego nieco wystąpienia! „Jeden z punktów statutu Tow. Przyj. Nauk w Przemysłu, zatwierdzonego (niestety!) przez c. k. namiestnictwo, zezwala właśnie na prowadzenie rozkopów archeologicznych w okolicach miasta, ale faktycznie obawiać się należy, by Tow. nie chciało (przynajmniej w podobnych jak dzisiaj warunkach) korzystać z tego przywileju, ponieważ nie ulega wątpliwości, iż przyniesie to tylko niemożliwą do odrobienia szkodę dla nauki, a kompromitację dla Towarzystwa. Wspomniana powyżej sprawa wykopalisk przemyskich najlepszą służyć może zapowiedzią tego. I ta właśnie okoliczność skłania nas przedewszystkiem do zwrócenia baczniejszej uwagi na przykre to dla nauki naszej zajście. Niech też pozostanie ono pierwszym, ale też i ostatnim niepowodzeniem „Stacji archeologicznej“ przy Tow. Przyj. Nauk w Przemysłu“.

Po aferze z niefortunnym tem znaleziskiem omówiłem działalność Tow. przemyskiego (względnie tylko archeologiczno-muzealnego jego oddziału) w kilkakrotnie już wspomnianym przeglądzie „Muzeów lokalnych w Galicji“ i stąd to uwagi tam zawarte zwracają się całkiem otwarcie i — jak wykazałem chyba — całkiem bez celów ubocznych przeciw niektórym uchybieniom kierownictwa Towarzystwa, względnie Muzeum. W wszystkim tem, com kiedykolwiek pisałem o Tow. przemyskiem, nie wspomniałem raz choćby jeden nazwiska jakiegoś, osoby jednej, pod której adresem kierowałbym uwagi swoje. Obojętne mi były bowiem całkowicie osoby, bo nie o nie mi chodziło — widziałem przed sobą Towarzystwo, złożone z większej liczby członków, a poszczególni z pomiędzy nich nie mię zupełnie nie zajmowali. O ile zaś natknąłem na osobę prof. Dworskiego, to nie jako członka Tow. — nie wiedząc zresztą całkowicie czy jest on nim, czy przebywa w Przemysłu i czy wogóle ma coś wspólnego z pracami Tow. — lecz wyłącznie z racji jego zbioru przedhisto-

rycznego ofiarowanego Muzeum przemyskiemu. I to, że wymieniłem jego jedynie w sprawozdaniach moich o Muzeum przemyskiem nie może poczytywane być mi za jakąś napaść osobistą, dyktowaną względami ubocznymi, ponieważ całkiem wyraźnie wypowiedziałem się z przekonaniem swem nie co do osoby p. Dworskiego, lecz wyłącznie co do jego działalności w dziedzinie archeologii, względnie wykopalisk archeologicznych. Wspominając o wykopaliskach, ofiarowanych przez prof. Dworskiego zbiorom Tow., nadmieniałem („Ziemia“, 1912, Nr 5), iż „zostały one znacznie zdeprecjonowane, tracąc na wartości materiału naukowego z powodu, iż ofiarodawca sam wykopywał je zupełnie nieumiejętnie i bez zachowania nauką przepisanych metod i sposobów“. Nie ubliżając p. Dworskiemu, o którym zawsze słyszałem opinię jak najlepszą, jako o człowieku istotnie ideowym, bezpretensjonalnym, a zakochanym wprost w ulubionych starożytnościach, użyłem słów powyższych nie bezpodstawnie, ponieważ po pierwsze, pamiętałem interwencję Grona c. k. konserwatorów Galicji zachodniej w sprawie przeszkodzenia p. Dworskiemu w poszukiwaniach jego za zabytkami przedhistorycznymi, o które więcej się starał ilościowo niż jakościowo, czyniąc tem niejednokrotnie szkodę (bezwątpienia mimo wolną zresztą) poważnym celom prahistorji krajowej (jak orzekło Grono konserwatorskie), a po drugie, iż po dziesięciu latach poszukiwań prof. Dworskiego nie spotkałem się ani ze słówkiem sprawozdania, które z pewnością znalazłoby miejsce w wydawanych przez Akademię krakowską „Materiałach antropologiczno-archeologicznych“, gdyby prof. Dworski zechciał tylko pomyśleć o opracowaniu jego. Słyszałem dużo razy, iż zdobycze p. Dworskiego mają być bardzo ciekawe, ale za złe chyba nikt mi brać nie zechce, iż oceny tego rodzaju nie były, jak też i nie są, dla mnie wystarczające. Nie wymagałbym od nikogo, żeby mi na samo zapewnienie wierzył, iż mam w biurku jakieś epokowe prace,

które jednak kryję zazdrośnie, obiecując tylko, iż kiedyś kiedyś zaimponuję niemi światu, ale też i nikt ode mnie wymagać nie może, bym się zachwycił czymś, co tylko w ukryciu istnieje. Za dziesięć lat nie raz już można było opublikować wyniki poszukiwań, a jeżeli się tego nie uczyniło, to widocznie nie tego z nimi. Tłumaczenie się kosztami wydawnictwa nic tu nie znaczy, bo Akademia krakowska podołałaby im zapewne, jak podołała nie jednej za ten czas drukowanej w wydawnictwach swoich pracy archeologicznej, drukowała sprawozdania p. Szembekównej, a wydrukować nie mogłaby ciekawych wyników poszukiwań p. Dworskiego?

Nie wątpię, a owszem przekonany jestem, iż wykopaliska prof. Dworskiego istotnie są nadzwyczaj ciekawe, ale niestety nie mogę mieć tej pewności co do wartości i poszukiwań jego; inna rzecz same przedmioty jako takie, a inna naukowe, *lege artis* przeprowadzone wydobywanie ich z ziemi i zbadanie na miejscu. Dzisiaj nie ten jest archeologiem, co poluje choćby z powodzeniem za zabytkami, ale ten, co potrafi zbadać je odpowiednio i z badań swych zdać sprawozdanie należyte, choćby wynik materialny jak był nikły i niepokazny. A jeżeli chodzi o p. Dworskiego, to istotnie rekord on chyba zdobył co do ilości przedmiotów, wydobytych z ziemi, ale niestety nie co do ich naukowego opracowania. I to też poczytuje mu się za ujemne i nie co innego mieliśmy na myśli, wyrażając się z ubolewaniem o umniejszeniu w ten sposób wartości wykopalisk jego. O prof. Dworskim, jako człowieku, wyrazić się musimy tylko z prawdziwym poważaniem, ale jako o prehistoryku nie moglibyśmy uczynić tego bez zastrzeżeń — a dlaczego, sądzimy, żeśmy powyżej wyjaśnili. Interes czysty nauki mieliśmy na oku i w interesie tym tylko głos zabraliśmy, a że głos ten wypadł nieco ujemnie, to wina już nie nasza. W tego rodzaju kwestjach nie powinno się bawić w sentymenty żadne, bo rzecz tu idzie nie o prywatę, lecz o sprawy pu-

bliczne. Nie inaczej rozumowaliśmy, wytykając Tow. przemyskiemu braki jego i pomyłki i nie inaczej zapatrujemy się na p. Dworskiego, jako archeologa, pracującego dla dobra ogólnego. I nie wina też nasza, iż ktoś nie w stanie jest pojąć pobudek, kierujących nami, wietrząc w ocenie naszej machinację jakąś zakulisową. Widocznie rozumuje on po myśli twierdzenia, iż prawdę u nas wypowiada się tylko w razie porachunków osobistych — pozatem chwali się jeno, chwali i wysławia.

Ostatni raz omówiliśmy działalność Tow. przemyskiego przy sposobności przeglądu badań i prac archeologicznych u nas za r. 1912 *). Pomijając wszystko, cośmy dawniej o niem pisali, omówiliśmy tym razem sam tylko „Rocznik“ za r. 1909—1911 wydany przez Tow. Przyjaciół Nauk w Przemyśle (1912 r.), uwzględniając — jak zwykle interesującą nas tylko — część muzealno-archeologiczną. Nie odwołując ni słowa z tego, cośmy wówczas powiedzieli, powtarzamy zdanie nasze o niej tak, jak je wtedy wypowiedzieliśmy, zaznajamiając czytelników z tem, co polskie muzeum krajoznawcze zawiera, żeby sami ocenili, jakie to pożądane dla nauki polskiej okazy.

„Na siedmnastu kartkach pomieszczono coś w rodzaju zbiorów, obładowanych tyloma i takimi kurjozami, iż naprawdę żałować należy pieniędzy, tak nieroztropnie wydanych na druk kosztowny. Jak w całym Roczniku, tak specjalnie w Sprawozdaniu muzealnym aż roi się od nazwisk, tytułów, godności, szczegółów genealogicznych, familijnych i t. p. osób, które na rzecz zbiorów złożyły ofiarę n. p. z bardzo pożądanych dla polskiego muzeum krajoznawczego szablí Chunchuzów, kaganka japońskiego, sztychów ze scenami z życia Wilhelma Tella, planu Medjolanu, najrozmaitszych „bezcennych“ trójdruków niemieckich, albumów wystaw francuskich, talerzyka wyrobu węgierskiego, talerzy ro-

*) Badania archeologiczne dokonane 1912 r. w Galicji wsch. Gazeta lwowska. 1913. Nr. 181—3.

syjskich, dzbanuszka weneckiego, medaljonika kauczukowego, spinki złotej do manszetów dziadka któregoś z ofiarodawców, figurki żelaznej, przedstawiającej Chińczyka, weneckich spinek mozaikowych (tuzin 1 $\frac{1}{2}$ kor.), podłużnego talerzyka japońskiego (z prawdziwej masy berlińskiej!), broszki weneckiej (z Karlsbadu?), szrapnela austriackiego, zdjęcia jakiegoś aparatu fotograficznego z widzenia na odległość (sic!), zdjęć fotograficznych strojów ludowych w Banjaluce, pieczęci redakcyjnej „Głosu kolejarza“, pieczęci gumowej „Gazety kolejowej“, dewizy z 1875 r. (wyrób słowiański z nad Adriatyku!), kawałka pluszu z potarganej togi rektora, czerepów z kałamarzy, umbry, lustra i części ozdób z ram — pamiątek po rozruchach uniwersyteckich we Lwowie w 1907 r., koralika wykonanego w Egipcie, muszli i koralu z wyspy Borneo i z nad Adriatyku, nożyka bośniackiego, gwoździa z lawą, kawałka stiuku, kawałka marmuru, pięciu (szkoda, że nie więcej!) kamyczków z mozaiki z Pompei, kawałka płyty porfirowej z katakumb w Rzymie, gwoździa z Florencji i mnóstwa innych okazów podobnych, zdobiących Muzeum lepiej, niż pierwszy lepszy bric a brac, lub skład kurjózów. Z doboru podobnie cennych okazów zyskuje się wprawdzie bardzo na ilości, ale wątpić należy, czy pożądaną jest to ze względu na ich jakość. Jak na razie, to zarząd Tow. hołduje się zda zasadzie *non multum sed multa* i przyznać należy, że w kierunku tym osiągnął rekord niebywały. Miał Rapperswyl fajkę Batorego, to dlaczego Przemyśl niema mieć n. p. szabli Chunchuzów lub spinek (ale złotych!) do manszetów dziadka któregoś z ofiarodawców!“

W tem miejscu przypomnieć muszę, jak przewidywania moje, wypowiedziane dużo przed wydaniem „Rocznika“, ziściły się przedziwnie. Otóż, mówiąc o „Muzeach lokalnych w Galicji“ („Ziemia“, 1912, Nr. 6) przestrzegam przed zwykłym w takich razach spaceniem idei lokalnych zbiorów krajoznawczych.

„Zastanowić należałoby się nad niektórymi kwestjami, związanymi z rozwojem i organizacją muzeów lokalnych. Wątpliwą rzeczą jest, czy zanadto liczne zbiory lokalne pożądane są ze względu na rozdrabnianie przechowywanych w nich okazów, tudzież na niepożądaną konkurencję wzajemną. Brak organizacji przyczynia się przytem nadewszystko do tego, iż muzea podobne nie przynoszą korzyści, jakiejby się należało po nich spodziewać. Większość zbiorów muzealnych przypomina bardziej skład rupieci lub osobliwości najrozmaitszych, niż celowo prowadzone muzeum, którego zadaniem jest przedewszystkiem uwzględnianie interesów i zamiłowania do lokalnej, kulturalnej i artystycznej przeszłości, oraz do jej poważnego poznawania. Niema racji, by muzea te ze skromnych swych środków wydawały znaczniejsze sumy na zakupno pojedynczych okazów obcego pochodzenia, żeby kierunek zbioru stosował się do chwilowej zachcianki zarządcy“.

„Muzea lokalne nie powinny też specjalizować się w pewnych działach, ponieważ w ten sposób szkodziłyby jedynie zbiorom większym, do których przedewszystkiem zwracają się uczeni w celach naukowych. Specjalizacja podobna sprawia, iż muzea, w których ma ona miejsce, stoją prawie zawsze puste, ponieważ nie zdolne są zająć niefachowca; w ten sposób chybiony zostaje główny cel podobnych zbiorów — wpływanie na szerokie masy, celem zajęcia ich przeszłością i kulturą kraju. Nagromadzone wielkim nakładem pracy zabytki, wyrwane zapomnieniu, ulegają w warunkach podobnych innego rodzaju zatraceniu ich bez korzyści“.

„W parze z bezplanowem i bezcelowem zbieractwem idzie zazwyczaj jeszcze jedno zło, a mianowicie dyletantyzm. Pod wpływem jego gromadzi się przedmioty, które wogóle nie nadają się do muzeum, lub które za co innego podaje się, jak są w rzeczywistości; anomalja, trofea podróźnicze, nowoczesne naśladownictwa angielskie wyrobów japońskich i t. p.“

„Celem zapobieżenia najrozmaitszym podobnym zwyrodnieniom w dziedzinie muzealnej, ustanowiły już niektóre państwa nadzór fachowy nad muzeami tak miejskimi, jak i lokalnymi, argumentując swą ingerencję wypłacanymi subwencjami.. W ten sposób muzea lokalne zyskują podwójnie: raz, iż otrzymują dla swych celów pożądaną pomoc pieniężną, po drugie, iż korzystają z wiedzy i doświadczenia najlepszych uczonych i znawców. Stosunki takie zachodzą na razie jedynie u obcych, my jednak zdani być musimy na własne tylko siły i dlatego pilnie baczyć powinniśmy, by drogi pieniądz nie szedł na marne. Każda podobna instytucja powinna stać u nas pod nadzorem ludzi, znających się na rzeczy, którzyby w każdym wypadku publicznie zabierali głos nie tyle ostro krytykujący, ile życzliwy a sumienny“.

Podobnie wypowiedziałem się, oby czy nie rok cały przed wyjściem pierwszego „Rocznika“, a czy przewidywania moje słuszne były niech świadczy powyższe zestawienie co „ciekawszych“ okazów ze zbiorów przemyskich. Życzyłem kierownictwu Muzeum i Stacji archeologicznej jak najlepiej, ale nie uznały one za stosowne pomyśleć, czy przypadkiem racja nie była w powyższych uwagach. Widocznie uznały, iż próżne to gadania, bo i na włos nie zmieniły raz przyjętego kierunku. Dlaczego tak jednak postąpiły dowiedziałem się dopiero niedawno. Zanim przystąpię do wyjaśnienia i tego, muszę jeszcze powrócić do wspomnianego powyżej artykułu w „Gazecie lwowskiej“ (1913, Nr. 183).

Po omówieniu katalogu, powtórzyłem o zbiorach prof. Dworskiego, co rok temu jeszcze o nich nadmieniłem, a co powyżej udokumentowałem, przechodząc następnie do zarejestrowania odkrycia przypadkowego, zbadanego przez Stację archeologiczną w Przemysłu, a dokonanego we wsi Przedzielnicy. Z uznaniem podniosłem przy tej sposobności fakt, iż Tow. przemyskie ogranicza się słusznie jedynie do ratowania znalezisk

przypadkowych i na zakończenie — czyniąc aluzję do omówionej powyżej sprawy wykopalisk „lechickich” w Przemyślu — zwróciłem uwagę, żeby Stacja archeologiczna powstrzymywała się od determinacji chronologicznej znalezisk, ponieważ prehistorykom fachowym wystarczy opis rzeczowy (podanie dokładne stanu faktycznego,) a innych nie należy w błąd wprowadzać. Nadmienając to, nie miałem na myśli wcale wykopaliska z Przedzielnicy, któremu nie mam całkowicie nic do zarzucenia — przypominałem jedynie znaną dobrze Towarzystwu sprawę owego znaleziska „lechickiego”. O wykopaliskach zaś z Przedzielnicy dowiedziałem się z dzienników, a nie z drugiego „Rocznika” Tow., którego nie tylko, że nie mogłem mieć, pisząc przegląd ów roczny (z końcem 1912 r.), ale też i dni kilka temu nie oglądałem dokładnie, jak tylko za oknem księgarni.

Tak wyglądałoby wszystko, co kiedykolwiek wypowiedziałem publicznie o Towarzystwie przemyskim, względnie o kierownictwie jego w rzeczach muzealno-archeologicznych, o które mi jedynie rozchodziło się zawsze. . Jak już zaznaczyłem, w sprawozdaniach tych nie wymieniałem nigdy żadnego nazwiska, kierując wszelkie uwagi pod adresem Tow., lub Stacji jego archeologicznej. Nie przypuszczałem nigdy, iż grono członków tak poważnie wyglądającej „Stacji” naukowej składa się z jednego tylko człowieka i to do tego znanego mi nawet nieco osobiście. Z niemałym też zdziwieniem dowiedziałem się całkiem przypadkiem, iż osoba ta podpisała nazwiskiem swem pełnym „List otwarty w obronie Tow. Przyjaciół Nauk w Przemyślu (przeznaczony dla Zarządu, Dyrekcji i członków Tow.)”, w którym, kwestjonując moją kulturę duchową, okazuje swoją natomiast subtelną, zaczynając ów „List” od niesmacznych wycieczek czysto osobistych (do tego pozbawionych podstawy i dziwacznie skombinowanych rzekomo na podstawie osobistej ze mną rozmowy!), przechodząc do zarzucania kłamstw, insynuo-

wania mi jakichś tajemniczej natury względów osobistych, tudzież silenia się bezowocnego odkrycia przychyny nieżyczliwości mojej rzekomej ku sobie, a kończąc wzmówieniem we mnie, iż podejmuję się nienarodowej roboty, chcąc sztucznie dla nieuczciwych celów stworzyć koniecznie sprawę Rapperswylską w Przemysłu i to do tego z gronem jakimś liczniejszym, bo dowiaduję się, iż mieć mam jakichś „satelitów“ w nieczym swem knowaniu na uciśnioną niewinność! Wysłuchać tego wszystkiego musiałem, żeby, broń Boże, nie zachciało mi się zwątpić w kulturę duchową nadawcy „Listu“, co wogóle już sam dla siebie stanowi kurjuzum niemałe. Jak już bowiem nadmieniałem, z uwagami swemi zwracałem się zawsze jedynie i wyłącznie pod adresem Tow. samego lub owej „Stacji“ archeologicznej. Tymczasem odpowiada nie Tow. i nie „Stacja“, lecz osoba, co do której nie wiedziałem nawet, iż ma prawo wziąć do siebie wszystkie uwagi i wskazówki. I stało się, iż „kował zawinił, a ślusarza powieszono“ — nie zarzucałem nigdy niczego autorowi „Listu“, a on uczuł się dotkniętym, wyjaśniając „Zarządowi, Dyrekcji i członkom Tow. Prz. N.“ to, co oni najlepiej sami powinni byli wiedzieć, ponieważ do nich to, a nie do autora „Listu“ zwrócone były zawsze wszelkie uwagi moje. Przypuścić możnaby, iż od Zarządu, Dyrekcji, Prezydium, Wydziału czy od innej jakiejś wyższej — jednej z bardzo licznych — magistratury Tow. dostał on polecenie wystosowania „Listu“, ale po co go w takim razie przeznaczono dla „Zarządu, Dyrekcji i członków Tow. Prz. N.“? Więc Zarząd, Dyrekcja i członkowie Tow. sami do siebie polecili „List“ wystosować, a zredagowanie jego powierzyli podpisującemu go u końca? Coś w tem niejasnego, ale tylko dla kogoś, kto nie zna chorobliwej wprost i maniackiej ambicji autora „Listu“, który z pasją prawdziwą umieszcza swe nazwisko na każdej niemal karcie „Roczników“ Tow., na każdym druku, na lada świstku papieru; zwłaszcza „Roczniki“

roją się wprost od nazwisk jego tak, że gdyby ktoś zadać chciał sobie trudu, to niezawodnie przekonałby się, iż same te nazwiska z wszelkimi tytułami, godnościami, przydomkami, imionami i t. p., wydrukowane razem, złożyłyby się oby czy nie na cały arkusz druku, który i więcej prócz tego zawiera epokowych podobnych adnotacji i uwiecznień. I nic zdołnego nie możnaby w rezultacie widzieć w pasji tego rodzaju, gdyby nie okoliczność, iż jej właśnie zawdzięcza i „List“ ów swoje wydanie. Ambicja bezprzykładna kazała autorowi jego i w ten jeszcze sposób się uwiecznić i nią też powodowany robi ruch tam, gdzie spokój byłby najbardziej na miejscu. Nie zbity z tropu, kiedy rwie się nić jego chytrych wyjaśnień, rzuca bez namysłu podejrzenia, zarzuca wprost kłamstwo, szyderstwo, lekceważenie i t. p. dowody subtelnej kultury duchowej. Do jakich zaś granic doprowadza chorobliwą ambicję, świadczy o tem szczegół, iż upokorzenie (!) widzi w życzliwej radzie naszej, by Tow. przemyskie za wzór sobie brało znakomicie prowadzone Muzeum podolskie w Tarnopolu. Mimo tej jednak niechęci, faktycznie możnaby Towarzystwu przemyskiemu za wzór postawić działalność Muzeum tarnopolskiego, które obywa się bez Zarządów, Dyrekcji, Wydziałów, Komisji, Stacji i t. p. pretensjonalnie brzmiących odmian jednego i tego samego, a nawet nie nosi miana Tow. naukowego, a jednak jak ładnie się rozwija, jak owocnie pracuje w przyjętym zakresie? Od Muzeum tarnopolskiego niechaj się nauczy Muzeum przemyskie zachowywania granic nie wygórowanych, ale pracy natomiast gruntownej, pozytywnej. Jakby inaczej wypaść musiał katalog Towarzystwa, gdyby autor (lub autorowie) jego zechciał tak go zmyślnie i inteligentnie ułożyć, jak zredagowany jest „Przewodnik po Muzeum Podolskiem“! A czy mieści się w głowie autora „Listu“, iż Przewodnika tego mimo to nikt nie podpisał? A jednak prawda to najoczywistsza!

Wspaniałomyślnym jest jednak przy wszystkim autor „Listu“, (którego umyślnie nie nazywam po nazwisku, nie chcąc mu sprawić przyjemności „uwiecznieniem“ choćby w ten sposób), powiadając, iż nie winuje redakcji „Gazety lwowskiej“ za szkodzenie Towarzystwu, ponieważ domyśla się, iż „prawdopodobnie nie znała głębszych pobudek“ mną kierujących. Ja wprawdzie sam nie znam tych „głębszych“ pobudek, ale wystarczy mi, że je zna autor „Listu“, który wogóle lepiej wie ode mnie, dlaczego właściwie zajmowałem się działalnością muzeów lokalnych w kraju. Ciekawe tylko, iż w pogoni za wykryciem tych „głębszych“ pobudek mną kierujących, czyni domysły najrozmaitsze, które mu samemu jakoś nie bardzo zdają się pewnymi, zamiast żeby, zdając się na rozum prosty, pojął przecież, iż kiedy się prawdę mówi, nie koniecznie się zaraz ma zamiar tem samym ciskać obelgi na kogoś. I zbyteczna jest wielkooduszność jego, bo o ile redakcja tak znakomicie prowadzonej, poważnej „Gazety lwowskiej“, uznała rzecz moją za wolną od tych „głębszych“ jakichś (znanych tylko autorowi „Listu“) pobudek, to dała tem dowód zrozumienia dla oceny krytycznej, rozumując słusznie, iż podpisując nazwiskiem swem artykuł, jestem temsamem gotów wziąć wszelką odpowiedzialność za treść jego, jak wogóle ponieść konsekwencje wszelkie wystąpienia swego. Zwykle to zresztą postępowanie i szkoda wobec tego i wspominać o tem. Dobry sobie jest autor „Listu“, twierdząc, iż „Gazeta lwowska“ mało ma stosunku z prawdziwą nauką i to nie mniej nie więcej tylko dla tego, że... płaci honorarja(!). A więc zdaniem autora pismo jakieś nie prędzej zasłuży na miano naukowego, zanim nie uzna zbyteczność płacenia honorarjów? O ile zaś płaci, nie zasługuje tem samem na miano naukowego. Nowa to teoria, ale interesująca przynajmniej!

Gdybyśmy chcieli więcej wymienić podobnych lapsusów, popełnionych w beznadziejnie naiwnym, ale

zrozumiałym zapale polemicznym, to i nie wiele właściwie pozostałoby z tych wyjaśnień „Listu”. „Przekonanie niezachwiane” autora, iż była ręka, która podyktowała mi stanowisko moje, pozostawiam mu nadal nie zachwianem, chociaż radbym się dowiedzieć, co to za ręka tajemnicza, tak własnowolnie mną się rządzi — nie wiem, niestety, nic o tem, a dobrzeby przecież „poznać siebie samego” i nie dać się byle kim powodować. A może to ręka tych tajemniczych „satelitów” moich, o których również jestem całkiem niepoinformowany? Jak widzę z wyjaśnień autora, to otoczony jestem jakimiś istotami tajemniczymi, które robią ze mną, co im się tylko żywnie podoba, nie pozwalając mi i palcem ruszyć bez zgody swojej. Co do mnie, to całkiem nie wiedziałem nic o tem, jak nie wiedziałem również, iż radzić kiedyś miałem rozwiązanie Stacji archeologicznej, ba nawet samego Tow. Przyjaciół Nauk, lub podanie się czyjeś do dymisji! O wszystkim tem dowiedziałem się dopiero z arcyciekawego „Listu” który nie o jednej zatem rzeczy poinformował mnie podobnie wiarygodnie. Dowiedziałem się też, iż z prasą lokalną zawarć miałem jakiś pakt tajemny, celem stworzenia sprawy Rapperswylskiej w Przemyśle i że wogóle wziąłem się z wszelkimi siłami nieczystymi, z najrozmaitszymi Rusinami (miałem nawet sam „przejsć na narodowość“ (!) ruską!), czynnikami nienarodowymi i t. p. nieludami, celem zniszczenia Bogu ducha winnego Towarzystwa przemyskiego. A na jakiej podstawie opiera się autor „Listu”, twierdząc to wszystko, to chyba tajemnicą jego pozostanie na zawsze, bo nie sądzę, iżby na tyle złośliwym miał być i chciał wymyślać z fantazji. Chętnie jednak zapomnę to wszystko i pozwolę sobie tylko zwrócić uwagę, iż nie może być poczytane za dowód subtelniejszej kultury duchowej wietrzenie nikczemności tam, gdzie jak najmniej być może o tem mowa. Niechaj więc autor „Listu” uspokoi się i uwierzy w najszczerzą moją życziwość —

o ile mu na niej zależeć może — dla tyle sympatycznego Towarzystwa przemyskiego, które oby z niedalekim dniem otwarcia mądrzej pracowało jak dotychczas, sobie na chwałę, a narodowi na pożytek. Niepotrzebnie wziął sobie autor „Listu“ do serca uwagi wszystkie, widząc w nich tylko złośliwość czyją i chęć rzucenia kłody pod nogi. Błąd też największy popełnił, nie pojmując, iż ktoś krytykować może, jednak bez chęci szkodenia i ubliżenia komuś. W tem też główna przyczyna nieporozumienia, wywołanego przezeń samego! Nie jest jednak tak źle, by odrobić tego nie można było w przyszłości, byle dobre chęci dopisały tylko. Mniej tylko trzeba być pretensjonalnym, a bardziej natomiast pozytywnym!

Z KSIĘGOZBIORU
Dra WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

INSTITUT ZOOLOGICZNY
 Polskiej Akademii Nauk
 BIBLIOTEKA

o ile ma na niej zależeć może — dla tych sympatycznych Towarzystwa przemyślnego, które oby z niedalekim dniem otwarcia majowej przyczołgało jak do tyłeczka, sobie na chwilkę, a narzuci na pozostek. Niepotrzebnie wziął sobie nawet „Lata” do serca uwagi wszystkie, widząc w nich tylko złośliwość zryg i chęć rzućenia kłody pod nogi. Miał też największy popędził, nie pominąć, iż ktoś krytykować może, jednak bez chęci szkodenia i ubliżenia komuś. W tem też główna przyczyna nieporozumienia, wywołanego przezeń samcem! Nie jest jednak jak się, by zrobić tego nie można było w przyszłości.

Z KSIĘGOZBIORU

Dra WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

Z KSIĘGOZBIORU

Dra WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

WYDZIAŁ
 Biblioteczny
 Uniwersytecki

Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN

K.17593



1000000003500

Z KSIĘGOZBIORU
Dra WACŁAWA RÓSZKOWSKIEGO